

Kabaret

kabaret...

Zadziwiającą metamorfozę przechodzi Wrocławska Operetka. I wcale nie mam tu na myśli dyskretnej zmiany nazwy; w tej chwili jeszcze na szyldzie widnieją dwa człony: „Teatr Muzyczny — Operetka Wrocławska”, ale zapewne wkrótce pozostanie tylko część pierwsza. I słusznie. Po „Skrzypku na dachu”, „Betleem polskim” a zwłaszcza po ostatnim „Cabarecie”, wyraźnie widoczna jest droga, jaką Jan Szurmiej zamierza swój „wózek” ciągnąć. Doprawdy zdumiewające jest to odbicie od dna, ów efektowny zwrot od ledwo dyszącej scenki zaspokajającej małomiasteczkowe guściki, do teatru ambitnego, o którym w Polsce zaczęła się mówić.

Premiera „Cabaretu” pozwala żywić nadzieję, że nie mamy do czynienia z efemerydą. Wrocław może się teraz poszczycić pozycją, znaną u nas dotychczas jedynie w wersji filmowej. Realizacja takich szlagierów niesie ze sobą pewne ryzyko zarówno wykonawcy jak i odbiorcy mogą łatwo ulec magii ekranu. „Cabaret” Jana Szurmieja ma z filmem tylko tyle wspólnego, że użyto w nim charakterystycznego dla filmu — a może jeszcze bardziej dla telewizji — „montażu”. Tu — dodajmy — wyczuwa się niezawodną rękę scenografa — Wojciecha Jankowiaka. Fascynujące są jego pomysły; to dzięki nim mamy iluzję wielkiej sceny z bogatym zapleczem technicznym. Można sobie wyobrazić ile za tym kryje się potu i żmudnej krzątania.

Na pierwszym jednak miejscu stawiam w tym spektaklu aktorstwo w połączeniu z fizyczną sprawnością. Na premierze w roli Sally Bowles wystąpiła gościnnie doskonała Hanna Sleszyńska (telewizyjny kabaret Olgi Lipińskiej), której partnerował jako Clifford Bradshaw — nie dorównujący jej niestety — Jacek Bończyk. Albo takie

girls; w tym dziesięcioosobowym ansamblu mamy solistki — śpiewaczki, koryfejki i chórzystki. Wszystkie doskonale śpiewają, pięknie tańczą i ponętnie się prezentują.

Trudną rolę mistrza ceremonii efektownie wykreował Wiesław Gawalek; niepokojący, wyzywający, prowokujący, chwilami perwersyjny... Odkrycie? Chyba tak.

Trochę może mało w tym przedstawieniu drapieżności, nie wyczuwa się owej specyficznej nutki zagrożenia. SA-mani i chłopcy z Hitlerjugend jacyś nazbyt układni; tylko komeziki im nałożyć.

Na pierwszy plan we wrocławskim „Cabarecie” wysuwa się para: właścicielka pensjonatu, Fräulein Schneider (Jolanta Chelmicka z pięknym altem) i sklepikarz Rudolf Schultz (Krzysztof Tysnarzewski). Czy taki był zamysł reżysera?

Wiele jeszcze dobrego można by o tym „Cabarecie” napisać: o udanych kostiumach, zabawnych marynarskich, o sprawności całego zespołu artystycznego i technicznego. Po raz pierwszy nie mam też żadnych zastrzeżeń do strony muzycznej. Soliści śpiewają „rasowo” jak w prawdziwym kabarecie, bezbłędnie ze swych zadań wywiązują się obie orkiestry, zarówno ta w orkiestronie jak i Stage band na scenie. „Cabaret” to jest to! Polecam.

JANUSZ MENCEL

Teatr Muzyczny — Operetka Wrocławska. „Cabaret” — libretto: Joe Masteroff, muzyka: John Kander, piosenki: Fred Ebb, reżyseria, inscenizacja i choreografia: Jan Szurmiej, kier. muz. Zbigniew Piotrowski, scenografia: Wojciech Jankowiak, kostiumy: Marta Hubka. Prapremiera polska — 26.06.1992.